



JAN MISZEWSKI

Plutonowy Jan Miszewski, 44 lata, st. przodownik Straży Granicznej, żonaty.

Dnia 20 września 1939 roku o godzinie 2 w nocy wraz z całym komisariatem Grajewo, komendą [nieczytelne] Brasław i innymi oddziałami wojska przekroczyłem w Turmontach granicę polsko-łotewską i zostałem internowany.

Na Łotwie przebywałem w obozach w Dźwińsku, Litenie, Ulbroce i przez trzy miesiące na pracy u gospodarza. Traktowanie mnie na Łotwie pod każdym względem było bez zarzutu. Władze wojskowe przestrzegały ściśle przepisów o internowanych i żaden z oficerów, podoficerów i żołnierzy nie wyrządził mi nawet słownie najmniejszej przykrości. Z chwilą wkroczenia Sowieców stosunki się znacznie zaostrzyły, jednak pomimo tego wojskowe władze łotewskie w dalszym ciągu okazywały dla nas dużo zrozumienia i przyjaźni.

Około 15 sierpnia 1940 roku przybyło do obozu w Ulbroce kilka osób cywilnych, jak się później okazało z NKWD, i zaczęli z niektórych spisywać jakieś dane personalne, twierdząc, że zapisują tych, którzy chcą wyjechać do Polski pod zabór niemiecki. Po trzech dniach przyjechała do obozu karetka więzienna, załadowali 13 oficerów, w tym pułkownika Dukawicza [?] i wywieźli z obozu.

22 sierpnia 1940 o godzinie 11 nadbiegło do obozu kilku oficerów z NKWD, kilkudziesięciu *bojców* z psami, karabinami maszynowymi i ręcznymi i rozproszyli się. Jakiś NKWD-zista w ubraniu cywilnym nawymyślał najpierw komendantowi łotewskiemu, że pozwolił na zbiegnięcie Polaków, że za to będzie odpowiadał, on się o to postara itp., co zresztą w ogóle nie miało miejsca. Następnie oddzielono oficerów, żandarmerię, Straż Graniczną i Policję Państwową od reszty wojska, te oddziały zatrzymano na podwórzu, a oddziały wojskowe wprowadzono do wolnej sali. NKWD-zista zarozumiałym głosem począł przygadywać, że

wyobrażał sobie tę żandarmerię, Straż Graniczną i Policję Państwową jako ludzi silnych, żelaznych, takich jak to oni kiedyś byli w Polsce, a tymczasem widzi malutkich niedołęgów, po czym nadmienił, że [nieczytelne] to będzie lepiej. Następnie przystąpiono do przeprowadzania rewizji osobistych, które się ograniczały tylko do odbierania ostrych narzędzi, jak noże, widelce, łyżki, scyzoryki, nożyczki itp. Miano nas prowadzić na stację, jednak Łotysze dostarczyli samochody ciężarowe i pod silną eskortą odwieziono nas. NKWD-ziści chętni się, że dziś się stosunki zmieniły, że w roku 1920 to oni byli bosci, obdarci i głodni, dziś natomiast są silni i robią, co im się podoba. O godzinie 14 dowieziono nas na stację, załadowano po 48 ludzi do małych wagonów z zabitymi oknami, zamknięto wagony na kłódkę i szybko odjechano do Rosji.

Jechaliśmy trzy dni, w czasie tego transportu dano nam dwa razy chleb i po pół śledzia, raz na dzień wody branej ze znajdującej się w pobliżu toru kałuży. Na zwracanie komendantowi transportu uwagi, że woda nie nadaje się do picia, odpowiadał ironicznie, że możemy jej nie pić. W trzecim dniu jazdy rozdzielono nasz transport, tak że oddziały wojskowe pojechały do obozu Juchnowo [Juchnow], natomiast oficerowie, żandarmeria, policja i Straż Graniczna – do Kozielska, dokąd przybyliśmy 25 sierpnia 1940 roku. Na stacji kolejowej w Kozielsku załadowano na samochody po 35 – 40 ludzi, polecono podnieść bagaż i siadać tak, że nikt nie mógł się ruszyć. Następnie po ostrzeżeniach, z krzykami *bojców*, ruszono do obozu oddalonego o siedem kilometrów od stacji. Tak ciężką drogę miałem pierwszy raz w życiu. Kończyny zdrętwiały mi zupełnie, w ogóle ruszyć się nie mogłem. Trzy osoby w czasie tak krótkiej jazdy zemdlały.

W obozie w Kozielsku najpierw ostrzyżono nam włosy, a następnie odbył się przegląd lekarski dokonywany przez kobiety, przy czym każdego badały trzy. Po ukończeniu przeglądu lekarskiego przystąpiono do rewizji osobistych, przeprowadzono je z wszelkimi szykanami, rozbierano do naga, polecano się nachylać, robić przysiady, ubierać się i rozbierać, przy czym zabierano wszelkie ostre narzędzia, ubrania cywilne, pieniądze łotewskie i polskie, zegarki, obrączki ślubne, pierścionki; dewocjonalia brutalnie niszczone.

Badano mnie tylko jeden raz, przez cały czas nie doręczono mi od żony ani jednego listu, mimo że żona i syn chorowali [?] w pawłodarskiej *obłasti* przez przeszło pół roku.

W obozie byli przeważnie Polacy i około 10 osób narodowości żydowskiej. Przez cały czas nastawiali różnych konfidentów, przeprowadzali często pogadanki na temat stosunków panujących w bolszewickim raju, ostatnio zaczęto zakładać partie bezbożników.

Wyżywienie składało się z 800 gramów chleba, kaszy, kapusty lub buraków i ryby. W obozie zmarł były starosta Pełczyński, jeden strażnik graniczny, jeden oficer i policjant popełnili samobójstwa, czterech czy pięciu, których nazwisk nie pamiętam, zmarło i trzy osoby, w tym jeden oficer, jeden posterunkowy policji i jeden [nieczytelne] żandarm – zwariowali. Politrucy często się wyrażali, że z Niemcami zawarli przymierze i dziś świata się nie boją, a z tą kurwą Anglią jeszcze się rozprawią.

9 lutego 1941 roku od samego rana nowe rewizje i przygotowanie do podróży. Zabrano Straż Graniczną, policję, żandarmerię, kilka osób niewojskowych, kilku oficerów, między nimi pana majora Aleksandrowskiego, starostę Drożeńskiego i o godzinie 21 odstawili do stacji kolejowej Kozielsk, załadowali znów po 45 – 50 ludzi do wagonu i wywieźli przez Moskwę, Wołkowstroj [?], Kandałakszę do Murmańska, dokąd przywieziono nas 15 czerwca 1941. Przez te pięć dni dwa razy dostaliśmy po jednym kubku zupy, pomocy lekarskiej nie udzielano, wagony przez cały czas były zamknięte, a wodę otrzymaliśmy z wielkim trudem raz na dobę. Po drodze mijaliśmy całe obszary obozów więzionych, ludzie ci byli wynędzniali, brudni, obdarci, zawszeni. Widziało się kolumny pędzonych postaci z całym majątkiem w woreczku na plecach. Z majątkiem tym nigdy się nie rozstawał, z nim pracował, na nim układał się do snu, gdyż w przeciwnym wypadku by mu go skradziono. Prawie cały Przesmyk Karelo-Fiński z Murmańskiem był jednym wielkim obozem *zakluczonych*. Z Murmańska zaprowadzono nas do tak zwanej Doliny Płaczu, oddalonej o siedem kilometrów od portu. Tam ulokowano nas w cywilnym obozie więźniów. Umieszczono nas, gdzie się dało – w namiotach, barakach, gdzie kto miejsce znalazł; dużo ludzi spało pod gołym niebem, pomimo że chociaż to było w czerwcu, w tamtych okolicach leżał śnieg. Gdy prowadzono nas przez Murmańsk, widziałem, jak z jednej strony drogi odbywał się mecz piłki nożnej, a tuż obok kobiety tłukły kamienie i naprawiały szosę. Pracowano tam po 16 godzin, gdyż o tej porze w tamtych okolicach słońce w ogóle nie zachodzi. Mimo to jest bardzo zimno.

21 czerwca 1941 roku wyprowadzono nas z obozu do portu i tam nas, około 4 tys. osób, załadowano na statek „Klara Zetkin”, statek towarowy o pojemności [wyporności] 8 tys. ton. Wpakowano nas tak ciasno, że o położeniu się nikt nie mógł nawet marzyć. Przez całe siedem dni pobytu na statku siedziałem na drewnianej żerdzi tuż przy schodach prowadzących na pokład. Ustępy znajdowały się na pokładzie, gdzie wypuszczano tylko pojedynczo. Chcąc się tam dostać, trzeba było stać cztery godziny w kolejce, toteż z konieczności załatwiano się na miejscu. Z [nieczytelne] przedostanie się przez tę zbitą masę na drugą stronę statku

było niemożliwe. Nikt nie jest w stanie stać przez siedem dób na nogach, toteż żołnierze się [przyczepiali] pasami lub gumami do ścian statku i w pozycji wiszącej odbywali podróż. Miało się wrażenie, że ludzie ci wiszą. Wyżywienie w pierwszym dniu było możliwe, otrzymaliśmy po 800 gramów chleba i 400 gramów groszku konserwowego, drugiego dnia dano już połowę tego, trzeciego ćwierć, czwartego dnia kilka okruchów chleba, a piątego, szóstego i siódmego dnia nie otrzymaliśmy żadnego prowiantu, a na miejscu o nic się nikt postarać nie mógł. W ostatnich dniach już mało [osób] wychodziło do ustępu na pokład, do tego dokuczało dotkliwe zimno, gdyż jechaliśmy pomiędzy krami lodowymi. Ciepłej strawy, względnie herbaty lub wody nie podano nam w ogóle.

Dnia 22 czerwca, gdy znajdowaliśmy się na morzu, dowiedzieliśmy się, że statek nasz został zatrzymany przez fińską łódź podwodną i że Niemcy prowadzą z Sowietami wojnę. Wojna wybuchła w chwili, gdy znajdowaliśmy się u zatoki murmańskiej. Wybuchem jej nikt z nas się nie przeraził.

Po trzech dniach jazdy przybyliśmy do brzegów Półwyspu Kola, wyładowano nas dopiero po czterech dniach, 29 czerwca. Tegoż dnia ulokowano nas w obozie nad rzeką Ponoj. Leżało jeszcze dużo śniegu, a wodę do picia czerpało się z kałuż, które znajdowały się w obozie. Nie było wystarczającej liczby namiotów, toteż ludzie spali pod gołym niebem. W końcu przydzielono nam jeden dziurawy namiot przeznaczony na 70 osób, w którym umieszczono 460 ludzi, przypadało na człowieka do spania na zmianę 14,5 cm. Po paru dniach wyczerpano kałuże, wodę do kuchni dostarczać musiano z rzeki Ponoj, która leżała około 200 metrów niżej. Do tego potrzeba było najmniej 270 ludzi, którzy utworzyli łańcuch i wiadrami podawali wodę. Trwało to około 2,5 godziny dwa razy dziennie. Woda morska słona, do mycia się wody nie było, wyżywienie składało się z 300 gramów chleba, zupy i ryby.

Budowaliśmy w tej tundrze drogę po 12 do 14 godzin [dziennie], dzień i noc na zmianę (nocy nie było), bez żadnego wynagrodzenia. Druga partia naszych ludzi pracowała oddalona od nas o 12 kilometrów. Ponieważ nie było tam żadnej drogi ani dojazdu musiano na plecach raz dziennie donosić tam prowiant. Kolumna taka składała się z 70 do 100 osób, a ponieważ wszyscy byli tam głodni, zaś prowiantu bardzo mało, toteż po drodze dużo zniknęło, przez co pogorszył się jeszcze bardziej stan wyżywienia. Ludzie dalej od nas pracujący nie mieli żadnych namiotów. Za przewinienia, których NKWD-ziści wynajdowali dużo, sadzano do beczki, ale zwykle do dziury wykopanej w ziemi: sadzali skazanego bez spodni na gołej ziemi, a boscie nogi kazano trzymać całymi dniami w wodzie.

Na drugi dzień po przybyciu do Ponoj politruk zarządził zbiórkę i powiedział, że bandyci hitlerowscy napadli ich kraj i mordują, że zawarty został sojusz z Anglią. Co do Polski, nic nie wspominał, oświadczył tylko, że być może kiedyś do porozumienia dojdzie, chwilowo jednak o tym nie może być mowy. Bagaż nasz [położono?] poza obozem i pozwolono go zabrać dopiero po kilku dniach. Z powodu braku wyżywienia i chociażby najprymitywniejszego pomieszczenia pracę wykonywaliśmy zaledwie w 6 – 15 proc. [normy]. Straszili nas, że będziecie pracować, że damy sobie z wami radę.

11 lipca 1941 roku wstrzymano pracę i polecono szykować się do wyjazdu. Dano nam prowiant na drogę, który składał się z gotowanych nieobieranych kartofli ugotowanych przed trzema dniami, po pół śledzia i około 10 gramów słoniny. W nocy załadowano nas na statek „Andan” i 12 lipca o godzinie 18.30 odjechaliśmy z Półwyspu Kola w takich samych warunkach jak na „Klarze Zetkin”, z tą tylko różnicą, że dawali morskiej wody do picia pod dostatkiem. 13 lipca o godzinie 17 dobiliśmy do portu w Archangielsku, dopiero po trzech dniach, to jest 16 lipca o godzinie 16 wyładowano nas ze statku, przy tym zaś nie dano nam żadnego prowiantu, czyli przez prawie cały tydzień żyłem tymi gotowanymi ziemniakami, których otrzymałem niepełną menażkę i 10 gramów słoniny, a na statku dano nam po jednej słonej rybie na dwóch. Byliśmy głodni, wycieńczeni do ostatka. *Bojcy* dla uciechy rzucali przez otwór w podłodze do statku zepsute ryby i cieszyli się z tego, jak niektórzy rzucali się na te ochłapy. Na znak protestu poczęliśmy śpiewać pieśni patriotyczne, krzyczeć, cóż z tego – nie wypuszczono nikogo na pokład i głos niedaleko docierał.

Wprowadzono nas do przygotowanego obozu w Archangielsku. W tej części, gdzie wprowadzono nas (połowę transportu, 2 tys. ludzi) cały plac obejmował obszar 45 na 48 kroków, na tym stało pięć baraków, ustęp, a przez środek przepływał strumyk z brudną, śmierdzącą wodą. Nie było miejsca do stania, a cóż dopiero [mówić] o spaniu. Ja miałem tyle szczęścia, że ktoś odstąpił mi [miejsce] do spania na 3 – 4 godziny. Spaliśmy na zmianę z [nieczytelne] Drożańskim, Mangołowskim i innymi. W dalszym ciągu przez dwa dni nie dano jeść ani nie doprosiliśmy się żadnego lekarza. Podobno z tego powodu, że oddział transportowy NKWD nie przekazał nas jeszcze oddziałowi wartownicemu. W obozie nie było wody, toteż ludzie pili z tego śmierdzącego strumyka i już po dwóch dniach pojawiła się czerwonka, do tego stopnia, że ludzie nie zdążyli dojść do ustępu, a zresztą nie było tam miejsca.

Stan życiowy w tym obozie był tak ciężki, że wprost nie da się opisać. Nie liczyliśmy się z niczym, robiliśmy awantury, krzyczeliśmy, śpiewali – wszystko po to, żeby zmusić tych ludzi bez odrobiny serca i sumienia, by doprosić się lekarza, by dali jeść i wodę. Reakcja była ta, że na budki usadzili podwójne posterunki uzbrojone w karabiny maszynowe. Mimo to wierzyliśmy, że uwolnienie nasze zbliża się. Politrucy zaczęli okazywać pewną bezradność, ale i obojętność w stosunku do nas. Trzeciego dnia dano nam jeść, dostarczono wodę i zapewniono, że wszystko się poprawi, żeby tylko się uspokoić. Cóż z tego, kiedy czerwotka szerzyła się straszliwie. 21 lipca wydano nam prowiant na pięć dni, w stosunku do poprzedniego nawet dość obfity, jednak tylko same suchary pieczone na morskiej wodzie, i 22 lipca wyjechaliśmy w zamkniętych wagonach po 50 osób. Tym razem nie przeprowadzano rewizji osobistej. Warunki transportowe nic się nie zmieniły, mieliśmy w wagonie dużo chorych na czerwonkę, przez pięć dni przy każdej okazji prosiliśmy, wrzeszczeliśmy o pomoc lekarską. Nie otrzymaliśmy, śmierć zjawiała się prędkiej, bo ci ludzie nie chcieli nas zrozumieć. Leżałem na samym spodzie wagonu i wyglądałem przez małą dziurkę. *Bojec* to zauważył i niespostrzeżenie bagnetem stuknął w to miejsce, na szczęście nie trafił. W czasie jazdy spotykaliśmy masy uciekinierów, którzy z ich skromnym majątkiem jechali pociągami osobowo-towarowymi, a przeważnie na platformach. Ludności cywilnej *bojcy* opowiadali, że jesteście Niemcami, a kilku [kolegów] chciano wsadzić do aresztu za to, żeśmy powiedzieli że nie jesteście Niemcy a Polacy – zdrada tajemnicy. 26 lipca 1941 o godzinie 16 dojechaliśmy do Włodzimierza. Tego wieczora pytał mnie jeden z kolegów, czy w naszym stanie byłby ktoś na tyle silny, by mógł zrobić jeszcze 20 kilometrów drogi. Na odpowiedź nie potrzebował długo czekać: następnego dnia o godzinie 6 wyładowano nas z wagonów, podzielono cały transport na cztery grupy, pakunki odebrano na wozy i prowadzono nas do odległego o 40 kilometrów Suzdalu. Po drodze ludność z pól podbiegała, by zobaczyć niemieckich jeńców, a *bojcy* z całą powagą opowiadali, jak to Niemcy niejednolicie ubrani, obdarci, a jak w stosunku do nich elegancko wygląda *Krasnaja Armia*. Na dwudziestym kilometrze przygotowano niespodziankę: dano każdemu po pół litra ciepłej wody

Po wszystkich tych przejściach od Kozielska przez Murmańsk, „Klarę Zetkin”, Półwysep Kolski, Archangielsk, ludzie byli tak wyczerpani, że widziało się snujące się postacie zmarnowane, chude, wynędzniałe, toteż marsz szedł bardzo powoli. Politrucy i *bojcy* popędzali krzykiem i kolbami. Ludzie ze zmęczenia przewracali się i tracili przytomność. Jeden z oficerów NKWD tuż przy mnie starał się popędzić policjanta, który upadł. Podniósł

go brutalnie, a gdy ten [znów] upadł, kopał go, podnosił i rzucał na ziemię. Powiedziałem mu, że ma [nieczytelne] trzymać przy sobie, gdyż ten człowiek dalej [iść] nie może. Kazał mnie go zabrać. Powiedziałem, że ma go położyć na samochód albo wziąć na plecy. Ten wściekły przeklinał, wyzywał i począł strzelać z pistoletu. Takie wypadki były przez całą drogę. Nie mogliśmy iść tak szybko jak eskorta, to co pewien czas nastawiano erkaemy.

6 godz. 21 [sic] – dotarliśmy do miasta Suzdal. Jeden policjant zmarł w drodze, a jeden na trzeci dzień. Nieprzytomnych przywieziono więcej. Zresztą w końcu podróży na przystankach *bojcy* zasypiali. Gdy przechodziliśmy przez Suzdal, eskorta zachowywała się zupełnie dobrze, nawet nie przeszkadzali rozmawiać z ludnością cywilną. Następnego dnia po przybyciu miałem dość ostrą rozmowę z komendantem obozu Suzdal. Komendant i jeszcze dwóch cywilnych rozmawiali z naszymi żołnierzami. Komendant, major NKWD, powiedział im, że w Polsce było dużo analfabetów. Żołnierz odpowiedział, że – owszem – byli, ale takich analfabetów mają bez wyjątku wszystkie kraje, nie wyłączając Sowietów, Ameryki, Anglii itp., są to ludzie umysłowo zupełnie niesprawni i takich nauczyć się nie da. Na te słowa komendant odezwał się, dlaczego w Polsce zabraniano innych języków, a w szczególności rosyjskiego. Powiedziałem, że to nieprawda, a najlepszy dowód, że z prawie każdym z nas może się swobodnie porozumieć, a poza tym byliście na naszych terenach, to mogliście sprawdzić, że nie tak było, a Ukraińcy nawet mieli swoje wyższe uczelnie i nikt nie przeszkadzał, w każdej bibliotece można było dostać książki autorów zagranicznych, nie wyłączając sowieckich. Na to powiedział, że to nieprawda, wy się nie znacie. Na to powiedziałem mu, że swoją całą wiedzę żeście mi w tej chwili zdradzili. Następnie powiedział, dlaczego to w Polsce jest taki nacjonalizm, a nie tak jak to u nich internacjonalizm, dlaczego to w Polsce nie ma takiej swobody, wolności, równości, tak dobrze, jak to jest u nich. Powiedziałem: – Nie wiem, jak wy pojmujecie wolność, równość i swobodne życie, dlaczego po pomocy Niemcom w dobiciu Polski wzięliście się do wyniszczenia Polaków, dlaczego wywieźliście całą ludność do różnych więzień, obozów, tajg i w tundry? Chyba że po to, by waszą wolność pokazać. Na to on: – Wy mówcie tylko za siebie! – No dobrze, to dlaczego wywieźliście moją żonę i 10-letniego chłopaka, przecież oni by wam waszego ustroju nie wywrócili? Odpowiedział, że: – My musieliśmy ich bronić, by miejscowa ludność im krzywdy nie zrobiła. Powiedziałem, że zbyteczny kłopot, gdyż przeciwnie, po moim wyjeździe ludność mojej rodzinie dopomagała, ani ja, ani żona nie mieliśmy potrzeby obawiać się miejscowej ludności. Zapytał się: – A gdzie

wy byli? Odpowiedziałem, że byłem internowany na Łotwie. – A dlaczego wy uciekli? Powiedziałem, że nie uciekałem, ale takie miałem polecenie. Powiedział: kto nam dał polecenie i kto sam mógł takie wydać? Zapytałem, czy w ich armii swoboda jest tak daleko posunięta, że każdy *bojec* może robić, co mu się podoba, nie wykonywać rozkazów? Na to odpowiedział, że u nich to zupełnie co innego. Powiedziałem, że żona moja nie uciekała, a mogła wyjechać pod zabór niemiecki, chodziło tylko o słowo *volksdeutsch*, nie uciekała przed wami, a swoboda wasza: kołchoz w Kazachstanie! Na to on: wy przed nami uciekali, to wy i wasza rodzina nasz wróg. Powiedziałem, że o waszej swobodzie informowano nas inaczej. Powiedziano nam, że u was jest 40 – 45 milionów zamkniętych, my w to nie wierzyliśmy, gdyż nam nie mogło się nawet pomieścić w głowie, żeby całą ludność takiego kraju jak Anglia można było zamknąć w więzieniach lub obozach. Po przejeździe jednak przez Kalinin, Wołkowstroj, Murmańsk, Półwysep Kolski i Archangielsk mieliśmy możliwość przekonać się o tej smutnej prawdzie waszej wolności. – Kto wam to *skazał*, Wyszyński? – zapytał się. Powiedziałem, że nie Wyszyński, ale politruk w takim samym stopniu jak on. Na to z uniesieniem powiedział że to była nasza armia. Powiedziałem: – Z moją wiedzą coś jest nie w porządku, chyba nie znacie waszej armii, tak nisko jeszcze jej nie cenię, nie uwierzę, żeby wasza armia zamknięta była za liniami drutów kolczastych, za drutami, czy na drutach, pilnowali ich cywilni w budkach, z bagnietami, lub chodzili pod bagnietem z tłumoczkami na plecach do pracy w brudnych, obdartych do obrzydzenia łachmanach, bosy, w łapciach, niemcy itd. Nie, politruku, to nie wasza armia, to wasz obywatel, który według waszego pojęcia zażywa najwięcej swobody na całym świecie. A armię waszą zanadto żeście [nieczytelne]. Tu komendant zirytował się zupełnie, powiedział, że: – *S wami nada* długo *goworit*, a nie ma dużo czasu. Powiedziałem: – Przez dwa lata gadaliście, a dalsze gadanie jest zbyteczne. Zrobili ze mnie faszystę!

Po tygodniu od przybycia do Suzdalu ogłoszono nam, że jesteśmy wolnymi obywatelami państwa polskiego. Warunki w tym obozie były znacznie lepsze jak w poprzednich. Dawano nam wprawdzie 500 gramów chleba i słabą zupę, obejście z nami jednak poprawiło się. Politruk wygłaszał częste odczyty, zachęcał do współpracy, groził, że nielojalnych w stosunku do nich będą zatrzymywać w chwili, gdy dowódcy przyjdą do armii. 24 sierpnia 1941 roku przybył do obozu delegat Polski, podpułkownik Sulik-Sarnowski i tegoż dnia przyjęty zostałem do armii polskiej. Z chwilą wygłoszenia przemówienia przez delegata Rzeczypospolitej Sowietów zdjęli posterunki z obozu. Otrzymałem jakieś 500 rubli tytułem

odszkodowania moralnego. Niczego za to nie mogłem kupić, bo kilogram pomidorów kosztował 10 rubli.

3 września, już bez konwoju, partiami wymaszerowaliśmy z Suzdalu na stację kolejową we Włodzimierzu. Stare kobiety robiły za nami znak krzyża i płakały. 4 września o godzinie 11 wyjechaliśmy z Włodzimierza do Taszkentu, dokąd przybył transport 8 września. Dnia 6 września, w chwili ruszania pociągu, przejechany został st. strzelec Gromadziński. 8 września wstąpiłem do 5 Dywizji Piechoty w Taszkencie. Na skutek słabego stanu zdrowia w pierwszych dniach listopada przydzielony zostałem do kompanii Taszkentanów [?].

7 listopada załadowano nas do wagonów, dano prowiant na 10 dni. W tej podróży poznałem rozkosz obywatelstwa sowieckiego w całej krasie. Za stacją Engels ostrzeliwał nasz pociąg samolot bułgarski, za miastem Aralsk 17 listopada w nocy zapalił się wagon w naszym transporcie, siedem osób spaliło się zupełnie, zanim pociąg zatrzymano, 12 ciężko poparzonych odstawiono do szpitala, kilku wyskoczyło w biegu w śnieg i w ten sposób uratowali życie. 21 listopada przybywamy do stacji Arys. Nie dopuszczono nas do Taszkentu z powodu przepełnienia. Po trzech dniach skierowano nas w kierunku na Ałmaty. 25 listopada przybyliśmy na stację Dżambuł. Ktoś okradł wagon z cukrem, NKWD przeprowadziło rewizję, w naszym wagonie znaleziono torbę cukru, ale sprawców nie było. Wzięto mnie jako komendanta wagonu i chciano wsadzić do aresztu. Na stacji tej zatrzymano nasz transport przez trzy dni i dopytywano o sprawców, wmawiano we mnie, że ja muszę odpowiadać, gdyż cukier został skradziony i sprawca być musi, takie jest ich prawo. Powiedziałem, że gdyby nawet tak było, to ludzie chcieli tylko jeść, 25 dzień jesteśmy w transporcie, na 10 dni otrzymaliśmy jakie takie zaprowiantowanie, od 15 dni nie otrzymujemy żadnego prowiantu, ludzie sprzedają ostatki odzieży, aby się utrzymać przy życiu, a waszym obowiązkiem jest dać nam utrzymanie. Po zatrzymaniu sześciu osób z transportu zwolnili cztery nasze wagony i odwieźli nas do Ałmaty. 28 listopada wrócono nasz transport przez Frunze do Tak Mak, gdzie wyładowano nas 5 grudnia.

Siedziałem w pociągu cały miesiąc, a zaprowiantowania otrzymaliśmy na 10 dni. Przez 20 dni żywił się każdy jak mógł, zależało to od sprytu i szczęścia. Do chwili wyjazdu z Tatiszczewa miałem przy sobie 32 ruble, te pieniądze starczyły zaledwie na jeden dzień. Opisywać te przejścia jest wprost niemożliwe, trzeba by samemu to przeżyć albo mieć szeroką wyobraźnię nastawioną na najgorsze warunki, jakie tylko człowiek może sobie wyobrazić.

Stamtąd doprowadzono nas do kołchozu Kisil-Saj w Kazachstanie, niedaleko rzeki Czu, ulokowano nas 150 ludzi w dwóch lepiankach, na barłogach zawieszonych do niemożliwości, brudnych, obdartych. Całe wyżywienie składało się z niczego więcej jak 300 gramów [nieczytelne] z otrębami mąki, bez jakichkolwiek przypraw, chleba, nawet soli. Kołchoźnicy tamtejsi niedużo lepiej żyli. Prócz *priedsiedatiela* kołchozu nie było tam prawie żadnej osoby, która by sprzyjała ustrojowi sowieckiemu. Nawet o te 300 gramów mąki trzeba było walczyć, prawie błagać, straszyć [nieczytelne] itp. Zjawiali się [nieczytelne] NKWD, obiecali pomoc, nawet [nieczytelne], ale tylko na tym się kończyło.

Po niespełna trzech miesiącach pobytu w kołchozie, 27 lutego 1942, dostałem się do 10 Dywizji Piechoty w Ługowoj. Przybyłem tam zupełnie wyczerpany, ślepy, chory na żółtaczkę. W kołchozach ludzie umierali masowo na tyfus plamisty, w naszym kołchozie zmarł str. Warmiński na żółtaczkę, w sąsiednim kołchozie jednego tylko dnia zmarło siedmiu Polaków na tyfus. Niebezpieczne było dalej pozostawać w kołchozie, a pomocy lekarskiej żadnej nie było. Gdy przybyłem do Ługowoj, spotkałem znajomego mi jeszcze z Kozielska ppor. Bluma, on wskazał mi adres mojej rodziny, z którą się spotkałem po czterech dniach, a byłem przekonany, że nigdy jej nie zobaczę, gdyż mimo usilnych starań nie otrzymałem od rodziny żadnej wiadomości. Byłem w tym szczęśliwym położeniu, że za kilkanaście dni mogłem żonę wywieźć do Persji, do kraju, który przywrócił nam życie.